On i oswojeni ze śmiercią

Był młodym Żydem i trafił tu razem z ojcem w jednym transporcie. Kilka dni temu skończył dopiero trzydzieści dziewięć lat, lecz wyglądał na dużo więcej. I tak też się czuł. Czuł się jak młody starzec, do którego w pełni życia przychodzi śmierć, by mu towarzyszyć do końca dni jego. Pomimo że przebywał w tym miejscu dopiero od trzech lat, to jednak jego twarz była twarzą, na której minione lata były jakby zwielokrotnione. A stan ten powodowało to właśnie miejsce, w którym przebywał – miejsce, gdzie czas wlokąc się niemiłosiernie wolno, wyciskał z przeraźliwą wręcz premedytacją na twarzach tych wszystkich, którzy przeszli Sodomę i Gomorę tego miejsca, okrutne piętno zdziczenia bliźniaczej istoty, a w sercach i duszach pozostawiał nigdy nie zagojoną ranę. Było to drugie, nieznane wszystkim, oblicze wojny, a On był jej częścią składową.

Był koniec grudnia, śnieg skąpo pokrywał ziemię, a On wraz z dwunastoma innymi więźniami już od kilku miesięcy zatrudniony był przy budowie jednopiętrowego domu dla jednego z niemieckich oficerów. Teraz dom ten był już na ukończeniu, lecz czas spędzony przy jego stawianiu pozwolił mu na w miarę dokładne rozeznanie się w sytuacji i nawiązanie kontaktów z cywilami spoza obozu, bez których ucieczka, którą był organizował ze swoimi towarzyszami niedoli, nie miała żadnych szans powodzenia.

Dzisiejszy dzień miał być ostatnim dniem poddańczej uległości, wytężonej pracy ponad siły, odczłowieczania przez tak zwanych „nadludzi”. Miał być ostatnim dniem prowadzenia życia – jeżeli to trwanie można było jeszcze nazwać życiem – na komendę; prowadzenia życia bezosobowo z kolejnym

numerem wytatuowanym na przegubie dłoni, który był wszystkim: imieniem, nazwiskiem, narodowością, adresem zamieszkania i w końcu, czy raczej przede wszystkim, czyhającą zawsze obok i oczekującą swego dnia śmiercią. Bezimiennym odejściem w nicość – poza materialny świat, w imię tak zwanej „czystości gatunku ludzkiego”.

Światło dnia powoli konało, poczynając noc. Praca dobiegała końca, a powietrze przesiąknięte było wolnością i tych trzynastu, którzy postanowili uciec, czuło ją. On też ją wyczuwał, i to z tym większą intensywnością, im czas ucieczki był bliższy. Okazja była kusząca i może jedyna. Nie mieli nic do stracenia, nic – oprócz życia. Ale śmierć, tak naprawdę, czekała na nich wszędzie i dobrze o tym wiedzieli i doskonale znali jej smak. Dlatego musieli spróbować.

Gdy ostatni z trzech strażników którzy ich dozorowali, nie mogąc opanować senności, spowodowanej zabawą minionej nocy, trwającej do wczesnych godzin porannych, zamknął powieki pogrążając się w twardym śnie, cała grupa natychmiast przystąpiła do działania. Kilka chwil później ciała ich „aniołów stróżów” leżały znieruchomiałe pod zimną, jak śmierć, ścianą. W następnej sekundzie, nie zwlekając ani chwili dłużej, cała grupa, którą On prowadził, skierowała się w stronę rzeki, za którą rozciągał się, dla tych wszystkich, którzy zostali w obozie, złowieszczy i posępny jak kat, milczący, ciemny las, jednak dla tej niewielkiej grupki ludzi był teraz źródłem niemilknącej pieśni wolności, która rozbrzmiewała w nich z każdym następnym krokiem coraz głośniej, przyciągając ich ku sobie, jak syreny wabiące swoim śpiewem Odyseusza; a oni szli do niego ze wzrastającą w sobie wiarą i nadzieją na

przetrwanie, które byli zawarli w każdym spojrzeniu, oddechu, kroku i marzeniu.

Czas naglił – zmierzchało się coraz bardziej, a oni musieli jeszcze za dnia pokonać las, za którym czekała upragniona wolność, a którego brzeg przed momentem właśnie osiągnęli. W następnej chwili milcząco weszli w jego spokój i znikli w mroku.

Nie upłynęło jeszcze siedem godzin od chwili ucieczki, gdy plac apelowy był już od przeszło czterech godzin wypełniony wynędzniałymi, zziębniętymi więźniami, którzy smagani raz po raz ostrymi porywami grudniowego wiatru, z każdym jego uderzeniem coraz bardziej oddalali się od upragnionej wolności, ale który jednocześnie przybliżał ich do całkowitego wyzwolenia – wyzwolenia od cierpienia i udręki. Przybliżał ich do miejsca niezniszczalnych tęsknot o nie gasnącym, wiecznym szczęściu. Wiedzieli, że kilku więźniów uciekło i że będą długo stać, i że wielu powoli będzie słabnąć i odpadać z tej tragicznej gry o przetrwanie. Gry, w której pozostać mogli jedynie „silni", dla których nagrodą był kolejny przeżyty dzień, ale którzy, tak naprawdę, nie mogli być wygrani – w tej grze bowiem nie przewidziano wśród nich zwycięzców.

Wiatr dął i padał śnieg. Dobiegała szósta godzina karnego apelu, gdy od strony bramy, w świetle reflektorów, ukazały się jakieś ludzkie sylwetki. Z każdą upływającą sekundą zbliżały się coraz bardziej. Po pewnym czasie były już na tyle blisko, że można je było rozpoznać i policzyć: to byli oni. Eskortowało ich kilkunastu esesmanów i dziko ujadające psy, wściekle wyrywające się z rąk swoich panów. Szli wolno, zmęczeni i przegrani ledwie powłócząc nogami. On był na

przedzie. Jakby ich prowadził. Gdy zbliżyli się do stojących na placu więźniów na ich twarzach nie było widać smutku ani nienawiści, nie było też strachu ani łez. Obecna była tylko rezygnacja i jakby uczucie ulgi.

Weszli na środek placu apelowego, a po chwili, odprowadzani przez swoich uzbrojonych opiekunów, stanęli przed zbiorową szubienicą. Była nią wsparta na trzech mocno osadzonych w ziemi słupach kilkunastometrowa szyna kolejowa, na której zawieszono dwanaście sznurów z pętlami. Pod nią ustawiono dwanaście stołków.

Grudniowy, groźny wiatr bezlitośnie smagał ogonami mroźnych porywów po wychudłych ciałach stojących na placu więźniów, obnażając ich bezsilność i zabijając w nich wiarę. Wielu z nich leżało teraz w zastygłej pozie na ziemi przytulając się do niej, jak dzieci do matki podczas snu, a narastająca kołdra puszystego śniegu z każdą minutą coraz bardziej otulała ich niczym wykute z kamienia ciała.

Weszli na stołki. On wprowadzony został na osobną szubienicę, którą był wykonał jeszcze jego ojciec zanim skonał na „słupku". Była nowej, solidnej konstrukcji i podobała się wielu „panom" – władcom tego miejsca. Następnie kat założył każdemu na szyję zmrożoną, sztywną jak trup, pętlę. Po chwili ogłoszono wyrok, a on po kolei, z obojętnością kukły, wykopywał stołki spod nóg swoich bezimiennych ofiar.

Jego śmierć była niejako „na deser". Zostawiono Go na sam koniec tego widowiska, by mógł zrozumieć swoją winę.

Stał samotny, opuszczony przez wszystko i wszystkich, a zebrani tu od wielu już godzin więźniowie, wpatrywali się w Niego tępym wzrokiem, nie dostrzegając wiszących obok ciał dwunastu ludzi, którzy uwierzyli, a którzy teraz nie czuli już

nic – byli wolni. Stali, jakby w oczekiwaniu na mający wkrótce nastąpić jakiś cud, jak na rychłe zbawienie. Jednak cud nie nadchodził, a oni nie czuli się zbawieni. Nie czuli się zbawieni nawet wtedy, gdy zapadnia podestu na którym stał, otwarła się, a On zawisł nieruchomo w próżni – między niebem, a ziemią. Nie czuli nic oprócz przenikliwego zimna i pragnienia ciepła. Już nic. Oswojono ich ze śmiercią.

Pamięci –

Stefana Czaplińskiego 06.08.1920 r. Kielce – 20.02.1941 r. Oświęcim